



Kryminał z myszką

63

PAŁĘCZYNA

M a r i a n
B u t r y m

Marian Butrym

PAJĘCZYNA

Kryminał z myszką – Tom 63

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-54-6

Copyright © Spadkobiercy Mariana Butryma

Tekst: Iskry, Warszawa 1975 (Ewa wzywa 07, nr 80)

Pomyślałem, że jednak nie mam poetyckiej duszy.

Właściwie powinienem kontemplować olśniewający, niewiarygodny wprost błękit jeziora, mgliste kształty drzew na przeciwnym brzegu, wyblakły granat nieba albo opalizujące zorzą zmarszczki na wodzie czy tańczące w rytm fal żaglówki, ufnie wtulone w przystań. Ale nie miałem ochoty na poetyckie wzruszenia.

Być może poeta zauważyłby także nieprawdopodobną gamę kolorów: od ciemnego szafiru do indyga i błękitu, a nawet przedwcześnie pordzewiałe trzciny. Ale który współczesny poeta zerwie się z łóżka o czwartej rano, aby podziwiać takie widoki?

Spojrzałem na zegarek: czwarta dwanaście.

Wszystko dookoła tchnęło spokojem, ciszą i lenistwem. Pomyślałem, że dobrze jest przyjechać na urlop nad mazurskie jeziora. Coś w tym stylu sobie pomyślałem.

Żaden poeta nie umieściłby w tak bajkowej scenerii akcji ponurego dramatu, w którym, chcąc nie chcąc, musiałem grać jedną z głównych ról. Dlatego przyszło mi na myśl, że jednak nie mam poetyckiej duszy. Trudno ją mieć po ośmiu latach pracy w milicji.

Ale rozważania o pięknie natury pozwalały mi choć na chwilę zapomnieć o obowiązkach i o tym, że istnieją ludzie lekceważący piąte przykazanie. Do zbrodni nie można się przyzwyczaić i nie można się z nią pogodzić. Każda zbrodnia budzi we mnie sprzeciw i każda robi na mnie dokładnie tak samo wstrząsające wrażenie jak wtedy, gdy zaczynałem pracę w wydziale zabójstw. Jak wtedy, gdy po raz pierwszy, przed ośmiu laty, widziałem zamordowanego człowieka.

Spojrzałem na zegarek. Trochę z nudów, trochę z przyzwyczajenia: czwarta piętnaście.

Niestety, nawet najprzyjemniejsze chwile mają swój koniec i będę musiał powrócić do brutalnej codzienności.

Technicy dochodzeniowi kończyli swoją robotę. Nie mogłem im pomóc, więc przynajmniej starałem się nie przeszkadzać.

W przybrzeżnych zaroślach, częściowo zanurzone w wodzie, leżały zwłoki mężczyzny, który nazywał się Ryszard Brzozowicz. Od wielu godzin poszukiwała go milicja całego kraju.

Jeszcze niedawno miałem ochotę, a raczej obowiązek, porozmawiać z panem Brzozowiczem. Nie byłaby to przyjemna pogawędka – jeżeli w milicji w ogóle można rozmawiać o przyjemnych sprawach.

Ale kilka godzin temu milicyjnymi kanałami łączności dotarła do mnie wiadomość, że Ryszard Brzozowicz znaleziony został w Jurowie, uroczej miejscowości na Mazurach. Dowiedziałem się także, że już nigdy nikomu nic nie powie.

Z najróżniejszych przyczyn, a przede wszystkim dla zachowania tak zwanej ciągłości śledztwa, przełożeni zadecydowali, że prowadzić je będzie nadal nasza grupa operacyjna, chociaż zbrodni dokonano na terenie województwa olsztyńskiego.

W godzinę później milicyjny śmigłowiec gotowy był do startu. Do Jurowa przylecieliśmy tuż przed świtem.

Stałem na przybrzeżnym pagórku obserwując grupę moich kolegów, którzy dokonywali oględzin miejsca zbrodni. Słowa, jakie padały przy tym, należą do najstaranniej opuszczanych w słownikach poprawnej polszczyzny. W ekipie śledczej pracowali – używając finezyjnej terminologii pułkownika Gonczara – wyborowi ludzie. Ambicja zawodowa kazała im szukać śladów przestępcy, a rozsądek podsuwał myśl o beznadziejności tego przedsięwzięcia. Bo i pewnie – cóż można znaleźć w błotnistej bryi rozdeptanej przez tabuny turystów i rozwodnionej nocnym deszczem. Śladów było tyle, że starczyłoby na kilka podobnych spraw i jeszcze by została nie wykorzystana reszta.

Szef ekipy technicznej, łysawy sierżant Janicki, wyszedł wreszcie na brzeg i bezskutecznie usiłował oczyścić spodnie przypominające teraz wielokrotnie używaną szmatę do podłogi.

- Niech to szlag trafi! – zaklął wreszcie z rezygnacją.
- Niech trafi! – zgodziłem się. – A co poza tym?
- Portfel, dokumenty, pieniądze, trochę drobiazgów. Tyle.
- Żadnych śladów?
- Żadnych – westchnął sierżant ponuro.

Niepowodzenie swojej ekipy najwyraźniej odczuwał jako porażkę ambicjonalną. Tyle roboty, wysiłek wielu ludzi, zastosowanie nowoczesnych środków technicznych – i nic. Wiedzieliśmy dokładnie to, co poprzednio.

No, może przesadzam, ale materiału rzeczywiście zebrano niewiele. W opinii sierżanta Janickiego wierzyłem święcie. Miał nieprawdopodobny dar znajdowania śladów pozostawionych przez przestępców. Pozornie błahych, niemal niezauważalnych, które jednak w ostatecznym rozrachunku pozwalały ukierunkować śledztwo. Nieraz, po kolejnym sukcesie sierżanta, wydawało mi się, że jego praca graniczy z magią i że wyczuwa pozostawione przez przestępców ślady nawet przez betonową ścianę. Być może jest w milicji ktoś dorównujący Janickiemu umiejętnościami. To możliwe, ale mało prawdopodobne. Dlatego w werdykt sierżanta wierzyłem bez zastrzeżeń. Podobnie jak i w jego pomysłowość.

– Kończymy dokumentację – dodał Janicki, – Może jeszcze coś znajdziemy. Ale nie liczyłbym na to, kapitanie. Tyle.

Podszedł lekarz sądowy, doktor Żakowicz.

– Możemy już zabrać zwłoki, doktorze – powiedział do niego sierżant. – Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu...

– Jeżeli mam coś przeciwko czemuś – stwierdził melancholijnie doktor – to tylko jedno: żeby nie budzić mnie o pierwszej w nocy.

– Taka już nasza służba, doktorze – wtrąciłem filozoficznie.

Swoją drogą serce mi krwawiło na myśl, że doktor jest niewyspany. Sam w ogóle nie miałem okazji położyć się spać tej nocy.

– Dobrze, że mi pan o tym przypomniał, kapitanie – westchnął doktor. – Już czuję się lepiej. Zawsze czuję się lepiej wiedząc, że wypełniam obowiązki służbowe.

Jedną z niewątpliwych wad, lubianego zresztą w komendzie lekarza, była skłonność do ironizowania głosem pozbawionym ironii. Dlatego przezornie milczałem. Zresztą, co właściwie można powiedzieć w takiej sytuacji?

Rozległ się warkot motocykla. Obejrzeliśmy się.

– Nareszcie jest pies – ożywił się nagle Janicki i ruszył w stronę milicyjnej emzetki, z której gramolił się przewodnik z psem.

– Zawsze mówiłem, że psy są mądrzejsze od ludzi – skomentował Żakowicz. – Ja już jadę. Szczegóły podam po sekcji.

– A wstępnie?

– Utopiony. Jakies cztery godziny temu. Ale ktoś go ogłuszył uderzeniem w głowę i przytrzymał pod wodą.

– A więc jednak nie wypadek – wywnioskowałem odkrywco.

– Może i wypadek – zgodził się doktor z podejrzaną skwapliwością. – Ale musiałaby mu spaść na głowę bardzo duża szyszka. Do widzenia, kapitanie.

Przymilnym tonem poprosiłem, żeby wyniki sekcji przekazał mi jak najszybciej. Odparł, że zrobi co w jego mocy i na wymianie tych uprzejmości zakończyła się nasza rozmowa.

Miałem ochotę przyjrzeć się z bliska pracy przewodnika, który właśnie usiłował namówić swego psa do wykazania odrobiny węchowej inwencji, gdy z tyłu usłyszałem lament.

– Jezus Maria! Matko Boska! Chryste Panie! Taki straszliwy wypadek...

Pobożnisiem okazał się ściągnięty z łóżka kierownik pobliskiego domu wczasowego. Starszawy facet w naciągniętych na piżamę spodniach i swetrze, którego kolor mógłby ustalić tylko człowiek z bujną wyobraźnią.

– Pan Jańczak? – upewniłem się.

– Tak. Jestem kierownikiem obiektu, panie...

– Kapitanie. Kapitan Piotr Morski – przedstawiłem się dla zachowania pozorów. W razie pilnej potrzeby potrafię zachowywać się bez zarzutu.

– Jezu Nazareński, taki wypadek – kontynuował biadolenie Jańczak – to straszne...

Facet był w niezłej formie oratorskiej, a poza tym, o ile pamiętałem, w litanii pozostało jeszcze kilku świętych do wymienienia. Znudziła mnie zabawa w eufemizmy.

– To nie wypadek, panie Jańczak. Ten człowiek został zamordowany.

Jańczaka zatkało. Spojrzał na mnie z autentycznym przerażeniem i przez dłuższą chwilę gotów byłem uwierzyć, że pierwszy raz w życiu dowiedział się o gwałtownej śmierci człowieka, którego zabił inny człowiek. Gotów byłem w to uwierzyć. Ale tylko przez chwilę.

2

Wszystko zaczęło się trzy dni temu, a właściwie jeszcze wcześniej.

Wydział gospodarczy od kilku tygodni otrzymywał poufne informacje, że na czarnym rynku pojawiły się duże ilości sztucznej przędzy. Monopolistą produkującym sztuczne włókno jest przemysł państwowy, zrozumiałe więc, że zainteresowali się tym zjawiskiem moi koledzy z gospodarczego.

– W grę wchodzi działalność zorganizowanej grupy aferzystów – powiedział na naradzie u pułkownika naczelnik wydziału, kapitan Kaczmarek. – A stawką w grze stały się już miliony złotych, bo według oceny specjalistów ilość skradzionego towaru można liczyć w tonach...

Pułkownik Gonczar słuchał wywodów kapitana w milczeniu, notując tylko coś od czasu do czasu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI